

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[53]



Gniazdo ciernika (str. 834).

## W GRUDNIU,

przez Wiktora Gomulickiego.

To zimny pałac! U powały,  
Co jak baldachin świeci biały,  
Wiszą dyamenty i kryształy,  
Dołem się puchy skrzą łabędzie,  
Błyskają szklanych ścian krawędzie,  
Kolumny z lodu świecą w rzędzie.  
Środkiem przepływa szum uroczy,  
Pałą się wilków krwawe oczy,

\* \* \*

Na brylantowym siedząc tronie,  
Zima dziewicze chyli skronie,  
A jako próchno wzrok jęj płonie.

Wkoło niej kruki krążą stadem,  
Na jęj królewskim czole bladęm,  
Z lodowych igieł świeci dyadem —  
Wicher, nim gniewną wzniosłszy paszczę,  
Z gór pocznie zrywać śnieżne płaszcze,  
Jęj zimne stopy cicho głaszczę.

\* \* \*

Stasza to pani, choć zachwyca  
Melancholijnym wdziękiem lica,  
Z którego patrzy tajemnica;  
Chociaż w pałace zmienia bory,  
Drogich kamieni ma kolory,  
Osrebrza nocy i wieczory.  
Strasza — bo kwiatom wędnać każe,  
Strasza — bo robi z pól cmentarze,  
Strasza — bo z nędzą chodzi w parze.



## GNIAZDO CIERNIKA.

Niektórzy czytelnicy, mniej z zoologią obeznani, zadziwią się zapewne na widok naszego rysunku. Gniazda budują zwykle ptaszki, dla ryb podobne zajęcie wydaje się bardzo niewłaściwe i rzeczywiście taka troskliwość rodzicielska wyjątkowo tylko przytrafia się u tych stworzeń. Ryby pospolicie po złożeniu ikry, to jest jajek swoich, nie troszczą się wcale o przyszły los potomstwa. Co jednak jest najdziwniejsze, że u takich gatunków, które gniazda urządzają i czuwają nad wykluwającym się z jaj drobiazgiem, nie czyni tego, jak zwykle, matka, tylko ojciec, samiec.

Ciernik pospolity, z rodziny cierniopłetwych, jest małą rybką, zaledwie trzech cali długości dochodzącą, spotyka się w rzekach, a nawet niewielkich strumykach. Nazwa jego pochodzi od cierni z płetw wychodzących, któremi jest uzbrojony na grzbiecie. Inne gatunki, trochę większe, żyją w morzu. Ciernik samiec urządza swoje gniazdko zupełnie tak, jak ptaki, z drobnych wodorostów, zwabia do niego kilka samic, czasem nawet, jak utrzymują przyrodnicy, gwałtem je tam wpycha i trzyma, jakby w więzieniu, póki ikry nie złożą. Wówczas wypędza je i sam zajmuje się dalszym hodowaniem dziatwy. Najpierw więc czuwa nieustannie, aby żaden nieprzyjaciół do gniazdka dobrać się nie mógł, a jak tylko się młode rybki wyklują, dostarcza im pożywienia i broni od napadu drapieżnych ryb, aż póki nie podrosną.

Trzeba jednak wyznać, że obok tych zalet ciernik ma także brzydkie wady; jest to wielki żarłok, złośnik, w braćmi swoimi, innemi ciernikami, w ciągłej żyje niezgodzie i walce. Rybka ta często bywa hodowana w sadzawkach i akwariach, obyczaje jej tym sposobem dokładnie zostały poznane. Pewien przyrodnik umieścił kilka cierników w swoim akwaryum. Przypatrując się im, spostrzegł, jak jeden usadowił się w kąciaku, drugi podpłynął i chciał go zapewne ztamtąd wypchnąć. Rozpoczęła się walka zawzięta, rybki kaleczyły się swojemi ciernistemi grzbietami, przytém obie ze złości zmieniły barwę; zwykle są zielonkawe, ale podczas bitwy poczerwieniały, jak to i u ludzi bywa w gniewie. Nakoniec jeden zaczął słabnąć, pobił strasznie, mienił się potem dziwnie w różne czerwone odcienie, aż nareszcie zbladł ostatecznie i zginął.

Jest ryba morska, barwana, należąca do tej samej rodziny cierniopłetwych, która mieni się podobnie w najpiękniejsze barwy przed zgonem. Starożytni Rzymianie, którzy się lubowali we wszel-

kich okrutnych widowiskach, w czasie uczt kazali wnosić żyjące barweny, goście brali je do ręki i przypatrywali się pięknej grze kolorów, występującej przy konaniu nieszczęśliwych ryb. Potém je szybko odnószone do kuchni, i przyrządzano z nich potrawę.

## Choinka panny Katarzyny.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

(Dokończenie).

Na stoliku był drugi koszyczek, mały i ozdobny, zawierający w sobie różne przybory do szycia, igły, nici różnokolorowe, naparstki, igliczki, tasiemeczki, guziczki.

— Ach! już wiem — wykrzyknęła Helenka — będziemy szyły ubrania dla ubogich dzieci.

— Nie zupełnie zgadujesz, moja Helenko — odrzekła Anulka z uśmiechem — ciocia przez cały rok pamięta o ubogich, nie wielu też mamy w naszej wiosce takich biedaków, którzyby jałmużny potrzebowali. Wszyscy wieśniacy są dosyć zamożni, ubożsi, byle zdrowi, znajdują z łatwością zarobek, oni tak niewiele potrzebują; niema tu na wsi takiej nędzy, jak po miastach.

— A więc cóż to będzie, moja Anulko?

— Podarunki na gwiazdkę dla dziatwy. Patrz, ciocia wyjmuję z szafy całe tuziny lalek najprostszj budowy, w stroju zaniebzanym, a raczej bez żadnego stroju. Ale my tu zaraz urządzimy magazyn mój i przybierzemy je wspaniale. Co to będzie za radość! zobaczysz. Jak ukończymy ubieranie lalek, będziemy orzechy oklejać złotem i srebrem, świeczki przywiązywać do choinki.

— A to będzie i choinka?

— A jakże, przepyszne, ogromne drzewko, całe obwieszone temi pięknymi rzeczami. Już to ciocia doprawdy ma talent. Prawie jej to nic nie kosztuje, bo to wszystko są szmatki takie, któreby poszły na śmietnik; a jednak, jak się to składa porządnie przez cały rok, patrz, ile się zebrało. Z większych i lepszych kawałków ciocia sama urządza wieczorami czepeczki dla małych dzieci, takie zabawne, z włóczkowemi kutasikami, babcia znów z włóczki robi na drutach rozmaite rzeczy, trzewiczki, kapturki, chusteczki, a że babcia lubi drutową robotę, więc się tego mnóstwo przez rok nazbiera. Będzie więc darów podstatkiem, i dla starszj dziatwy i dla małych. Są także i elementarze, i książeczki, i obrazki pobożne dla tych, co do szkółki chodzą.

Podczas gdy Anulka opowiadała, panna Katarzyna krzątała się po różnych kątach, doby-



wała i przekładała graciki, bo miała tu w swoim pokoju skład główny kolendowych podarunków, a była tego moc wielka. Dzieweczki przeniosły koszyki i wszystkie przybory do bawialni, gdzie babcia czekała na nie w swoim fotelu. Cóż to za przyjemna i wesoła była robota! Ciocia Kasia krajała, pokazywała, Anulka miała zawsze w pogotowiu pełno rozmaitych conceptów, babcia śmiała się ze wszystkiego, co pieszczoszka powiedziała; potem, gdy obie robotnice milkły, zajęte upinaniem spodniczek i gorsetów na figurkach Krakowianek, Kujawianek, Ukrainek, które wedle wskazówek cioci Kasi przystrajały, sędziwa babcia opowiadała takie piękne i ciekawe rzeczy o dawnych czasach, o swojej młodości, o różnych osobach, spotykanych przez nią w Krakowie, gdzie młodość spędziła, że Helenka zasłuchana, ani się spostrzegła, jak czas upływał i podawano obiad, potem podwieczorek, potem herbatę i wieczrę.

Nadszedł wreszcie wieczór wigilijny. Przez cały dzień tyle było zajęcia przy ubieraniu drzewka, uwiązywaniu świeczek i błyszczących orzeszków, przypinaniu karteczek z imionami dziatwy do podarunków, że Helenka nie miała czasu myśleć o swoim strapieniu i oddaleniu rodziców. Raz tylko łezkę otarła ukradkiem, odczytując list od nich, który przez panią Wrońską odebrała z Warszawy, i oglądając fotografię matki, przyslaną w tym liście, ale spostrzegła to ciocia Kasia i zaraz jej przypomniała, że jeszcze mnóstwo karteczek napisać potrzeba, zaczęła też tłumaczyć szczegółowo, jakie powinny być litery w napisach, duże a wyraźne, żeby starsze dzieci, chodzące do szkółki, mogły je przeczytać same.

Na wieczrę przybył ksiądz proboszcz z matką, staruszką, przyszedł ekonom; w jadalnym pokoju za staraniem panny Katarzyny stół już był nakryty, według starodawnego zwyczaju, na sianku, w kącie stały dwa snopy, pszenicy i żyta. Pani Łączka przełamała opłatek najpierw z księdzem proboszczem, potem ze wszystkimi, podano zupę migdałową, wyborne ryby, przy końcu słodkie bakalie, jak zwykle, a przez cały czas toczyła się rozmowa wesoła i serdeczna; Helenka i teraz nie miała jakoś czasu smucić się zbyt. Myślała też sobie w duszy, jak to się pewnie mateczka jej ucieszy tam w Nicei, gdy ona jej to wszystko opowie i doniesie przede wszystkim, że nie płakała prawie ani troszeczkę w dzień wigilii, bo jej było bardzo dobrze w domu przyjaciółki i miała mnóstwo zajęcia, a na tęsknotę nie pozostało czasu. Tak, znała dobrze swoją mamę i wiedziała, jaką jej sprawi przyjemność tą wiadomością.

Po wieczry przeszli wszyscy do bawialni, jadalny pokój uprzątnięto szybko, stół usunięto w ką

i obie panienki pod kierunkiem panny Katarzyny ustawiły po samym środku ogromne drzewko, wspaniale przystrojone, na stole ułożono podarunki, każdy z przypiętą karteczką, pierniki, jabłka orzechy, bakalie, zapalono świeczki, latarki kolorowe, był to widok przepyszny.

— Wystawiam sobie, jak ta dziatwa się ucieszy, kiedy ja sama z zachwyceniem na to patrzę — mówiła Anulka.

Obie nasze dziewczeczki dostały już swoją kolenkę przed wieczrą. Panna Katarzyna dała każdej piękną książkę ilustrowaną, a babcia koszyki do roboty jednakowiuteńkie. Helenka nie zadziwiła się nawet, że i dla niej podarunki znalazły się tak w porę; ona takiego doznawała uczucia, jak gdyby tu była domową.

Zaledwie ukończono przygotowania i drzewko zapłonęło blaskiem nieprzeliczonych światełek, gdy na dziedzińcu dał się słyszeć śpiew chóralny. To dziatwa wiejska śpiewała kolendę. Na ten odgłos całe towarzystwo przeszło znów z bawialni do jadalnego pokoju, starsze panie zasiadły na fotelach, przygotowanych dla siebie, ksiądz proboszcz chodził i oglądał wszystko, a co chwila pokręcał głową i uśmiechał się.

Nakoniec drzwi otwały się z hałasem i liczna gromada dziatwy, dziewczątek i chłopaków, wkroczyła do pokoju, śpiewając ciągle w niebogłosy. Ale na widok pięknego drzewka, zachwycenie głos im odjęło, wszystko umilkło i spoglądało z szeroko rozwartymi oczyma i ustami.

— Cożecie się tak zagapili — rzekł proboszcz, śmiejąc się, — a pana Boga czy to nikt nie umie pochwalić?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zabrzmiało znów chórem ze wszystkich gardziółków.

— Na wieki wieków — odrzekła Panna Katarzyna — no, zbliżcież się dziatki, a kto umie czytać, niech się bierze do karteczek.

Dopieroż zaczęły się zachwyty, okrzyki radości, za każdą odczytaną kartką. Dziewczątka nie mogły się nacieszyć cudnemi lalkami, a każdej panna Katarzyna z pomocą obu panienek tłumaczyła, jaki strój miała jej laleczka, góralki, Krakowianki, czy Ukrainki i opowiadała, gdzie mieszka lud, co się tak ubiera.

— Kasia Bielakówna, Kasia Piętczanka, Kasia, i jeszcze Kasia; to dziwna rzecz, większa część dziewczątek w waszej wiosce to imię nosi — mówiła Helenka.

— Bo wszystkie ciocia Kasia do chrztu trzyma, a to imię i tak u ludu jest ulubione — odpowiedziała Anulka — wiec zawsze proszą proboszcza przy chrzcinach: „Niech ta będzie już Kaśka,



proszę dobrodzieja, tak, jak nasza panienka." I tym sposobem w całej wsi same Kasie rosną.

Za dziećmi przyszło i starszych trochę, matki, starsze siostry, nawet i ojcowie, „Pokłonić się paniom i życzyć zdrowia przy Święcie,” jak mówili, a pewnie zwabiła ich najwięcej choinka panny Katarzyny; i oni chcieli także oglądać te cuda, o których dziatwa co rok nagadać się nie mogła. Panna Katarzyna z każdym uprzemie rozmawiała, a musiała mieć dar szczególny jednania sobie miłości wieśniaków, bo każdemu, czy młodszemu, czy starszemu, twarz się rozpromieniała, gdy się zbliżał do niej.

— Jakoś tu u was tak dziwnie — mówiła Helenka do przyjaciółki, gdy po dziesiątej odeszła z nią do sypialnego pokoju i obie rozbierając się gawędzić zaczęły, — niby powietrze serdeczne wieje wszędy na każdego. W wielu domach widziałam wieśniaków, jak przychodzą do dworu, ale żeby tak przemawiali do państwa, i z poufałością i z wielkiem uszanowaniem zarazem, o tém nawet wyobrażenia nie miałam. A jak oni wszyscy mile wyglądają.

— Nie wiem doprawdy, moja Helenko, — odrzekła Anulka — czy to nasi wieśniacy są lepsi od innych, czy też, jak powiada żartem babunia, ciocia Kasia jakies im czary pozadawała. Bo żebyś ty wiedziała, jacy oni są pocziwi, jak oni nas kochają, a co do cioci Kasi, ręczę, że każdyby w ogień skoczył dla niej.

— Musi im bardzo wiele świadczyć.

— Tego niepowiem, bo trzeba ci wiedzieć, że babcia nie jest wcale bogata. Mamy w domu dostatek, ale na zbytki niema. Prawda, że babcia i ciocia nie wiele potrzebują; największy wydatek to utrzymanie moje na pensyi. Nie może więc ciocia, jak powiadasz, wiele świadczyć wieśniakom; zresztą oni są w ogóle dość zamożni, już ci to mówiłam i jałmużny nie potrzebują. Ale ciocia ma jakiś dar dziwny, ja nie wiem, chyba wrodzony; nie masz wyobrażenia, jak ona umie ludzi zobowiązać małą na pozór rzeczą. Niech tylko jaki smutek kogo dotknie, ciocia zaraz śpieszy z dobrą radą, a jeśli już nic poradzić nie można, to przynajmniej z pociechą. Sama widziałam, jak jedna biedna kobieta po stracie dziecka, obaczywszy ciocię, przechodzącą obok jej chaty, wybiegła, i rzuciła jej się do ręki, wołając: „Zagadajcie wy do mnie, paniusiu złota, bo wy macie takie słodkie słowa dla biednych ludzi, że żal umiecie zamawiać.” A cioteczka najpierw się sama rozplakała, a potem zaczęła jej mówić tyle pięknych rzeczy, jak to każdy z nas krzyż swój dźwigać musi, jak ona także wiele cierpiała w życiu, i wiele ukochanych osób

utraciła, a przecież nie rozpacza i nie narzeka, ale stara się zgodzić z wolą Bożą.

— Dobra, kochana twoja ciocia, Anulko, toż ona i mój żal zamówiła, jak powiedziała ta kobieta. Dziś z rana miałam już ochotę się mazać, ale jak zaczęła we mnie wmawiać, że to wstyd, bo przecież żadne mnie nieszczęście nie dotknęło, i powinnam się cieszyć, a nie martwić, otrzymawszy dobre wiadomości o zdrowiu mamy. A jak ona umiała mi to przedstawić! Doprawdy, po tej rozmowie zrozumiałam dopiero, jakieby to było samolubstwo z mojej strony martwić się i płakać dla tego, że mama nie poświęciła zdrowia swego dla mojej przyjemności i nie przyjechała wśród zimy na Święta do swojej pieczytoshki. Tak mi to trafiło do przekonania, że zaczęłam się śmiać, nim jeszcze łyzy otarłam.

— Otóż widzisz, taka to jest moja ciocia Kasia, umie każdego opanować i wmówić w niego, co zechce. Tak ona i z włościanami postępuje. Wszyscy powiadają, że oni dawniej wcale nie byli tacy mili i łatwi w pożyciu. Nim babcia owdowiała mieszkał tu dzierżawca, bo dziadunio nieboszczyk był w mieście urzędnikiem. Ale po jego śmierci babcia z ciocią Kasią i moją mamą przeniosła się na wieś i sama gospodarować zaczęła. Będzie to już temu lat ze dwadzieścia kilka, ciocia była młodzieńka bardzo, a mama jeszcze młodsza i ciocia wtenczas nią się opiekowała, jako starsza siostra. Gdy mama wyszła za męża, ciocia nie chciała babci opuścić, bo też doprawdy nie wiem, jakby tu mogło się obejść bez niej. Słyszałam — mówiła Anulka przyciszonym głosem i z minką tajemniczą — że był jakiś pan, bardzo dobry i miły, który miał się z ciocią ożenić, ale zginął na wojnie i odtąd ciocia włożyła tę czarną suknię, której nie zdejmuje nigdy.

— Ach! rzekła Helenka z wielkiem współczuciem — więc ona ma serce zranione, biedna ciocia Kasia.

— Nie widać tego jednak wcale — mówiła Anulka — bo ona tém sercem pocziwem wszystkie rany goi, a sama musi być chyba szczęśliwa, bo nigdy o sobie nie myśli, tylko o drugich, więc ile razy kogoś pocieszy i sama pociechy doznaje.

— Jak też ty to pięknie powiedziałaś, moja Anulko, zupełnie jak z książki; zkądże ci to przyszło do głowy?

— Ech, nie myślę udawać — rzekła śmiejąc się Anulka — słyszałam kiedyś, jak to mówił o cioci ksiądz proboszcz i zapamiętałam sobie. A powiedział przytém te słowa z Pisma Świętego: *Błogosławieni ci, bo oni posiadają ziemię.* I bardzo to doprawdy dobrze do cioci zastosował, bo ona taka cicha, a tu we wsi panuje nad wszystkimi,



może z każdym zrobić, co tylko zechce, tak ję słuchają. Patrząc na to, zrozumiałam, jakim to sposobem miłością można więcej zrobić niż siłą. Mówią naprzykład, że dawniej włościanie w naszej wiosce nie byli tacy zamożni. Nie mieli, ani ogrodów tak dobrze utrzymywanych, ani takiego gospodarstwa, ale ciocia, jak zaczęła im tłumaczyć, ile to można mieć dochodu z drzew owocowych, a ile z jarzyn starannie hodowanych, z drobiu, jak zaczęła sama zajmować się ogrodnictwem, sadzić drzewka, zasiewać różne warzywa i każdemu udzielać, i nasion, i zrazów do szczepienia; jeden, drugi usłuchał, dobrze mu z tē było i przykład podzielał. Ciocia ma mnóstwo książek gospodarskich i ogrodniczych, zna się na wszystkiē wybornie, sama też wydaje rozporządzenia, i ekonomowi i ogrodnikowi, a wszystkiē rządzi doskonale. Włościanie o tē wiedzą i za to może najbardziej ją szanują, bo u nich dobry gospodarz, dobra gospodyni, to grunt. Nieraz bywało latem, w niedzielę, gdy kilku gospodarzy przyjdzie wieczorem umawiać się o robotę, ciocia wynosi na ganek książkę, i czyta im głośno jaki ustęp o ulepszeniach w gospodarstwie rolnē i niby to się ich radzi, a w końcu oni zaczynają się dziwować, że to mądrzy ludzie takie piękne rzeczy obmyślają i piszą. A ciocia zaraz na to:

— Otóż to widzicie, jak to dobrze umieć czytać. Posyłajcie dzieci do szkoły, to i same sobie przeczytają niejedno i potē sprobują na swojej roli. Czy to zagranicą ludzie tyle mają z małego kawałka ziemi, co u nas? Ale na to trzeba dowiedzieć się, jak to oni robią. Czy to święci garnki lepią?

A oni kiwają głowami:

— Prawda, prawda, paniusiu, żeby człek był młodszy i sam by się ochotnie tego czytania nauczył, niech ta choć dzieci się uczą.

W naszej wiosce mało jest dorastających dzieci, któreby czytać nie umiały. Wszystko to się cioci należy, bo ona zna każdą rodzinę, umie i do rodziców przemówić, i dzieci zachęcić. Dwa lata temu, zaraz po żniwach, jeszcze wtenczas nie byłam na pensyi, pożar wybuchł z niewiadomego powodu w zabudowaniach naszych gospodarskich. Wszystko zboże spłonęło w gumnach, spaliła się także młocarnia; szkody te miały się wprawdzie w znacznej części wrócić, bo wszystko było ubezpieczone, ale na razie babcia nie miała gotowego grosza, a tu wydatki ogromne trzeba było wyłożyć na poprawienie tego wszystkiego, a nawet i na kupienie nasienia, bo zboża nic a nic nie pozostało. Już nie będę mówiła o tē, jak wszyscy pocziwi nasi włościanie gorliwie ratowali w czasie pożaru; nie mogli ocalić tego, co już było w płomieniu, ale nie

dopuszcili go przynajmniej do domu mieszkalnego. Zaledwie babcia i ciocia ochłonęły z przestachu, po ugaszeniu ognia, a już znów zaczęły się biedzić, zkąd tu wziąć pieniędzy. Żniwa tyle kosztowały, i wszystko z dymem poszło. Pamiętam, siedzieliśmy wszyscy na ganku, było to raniutko, bo pożar wybuchł przededniem. Ciocia pociesza wtedy babcię, jak może, bo ona zawsze ma pociechę na wszystko, aż tu kilku starszych gospodarzy idzie prosto przed ganek i wita nas „pochwalonym.”

— Dziękuję wam bardzo, moi dobrzy ludzie — powiada babcia, — czyniliście, co było w waszej mocy; ale Bogu się podobało dotknąć nas tą klęską, niech się święta wola jego stanie.

— A my tu z prośbą przyszli do wielmożnej Pani — rzecze najstarszy gospodarz, Mateusz.

— Z prośbą? — pyta babcia zdziwiona.

— A tak, proszę Wielmożnej pani. My to wiemy, że się na żniwo dużo grosza wydało i pewno przyjdzie się pożyczać teraz na pilne potrzeby. Niechże Wielmożna pani nam tēj krzywdy i tego wstydu nie robi, aby brać u żydów broń Boże na lichwę, bo my już swoje zboże poprzędawali, a i z dawnego znajdzie się uciulanych trocha groszów... oto my tu przynieśli, wielmożna pani wyda nam kwitek na prostym papierku, a jak wypłacą z towarzystwa, to my swoje odbierzem i kwita.

Co ty powiesz; nawet procentu za nic przyjąć nie chcieli, powiedzieli, że to wszystko jedno, bo pieniądze leżały u nich bez procentu, a zebrali pomiędzy sobą kilkaset rubli. Ciocia Kasia aż się rozplakała z rozrzewnienia, a oni znów:

— Albo to pani nas raz w biedzie ratowała, i pieniędzy pożyczala, i dawała na odrobek, a nigdy procentów żadnych nie liczyła.

— Ależ to raj prawdziwy, ta wasza wioska — mówiła Helenka.

— Ciocia powiada, że w tym roku dopiero jest już z naszej wioski zupełnie zadowolona, od kiedy na miejscu dawniej karczmy udało ję się urządzić gospodę chrześcijańską, gdzie zamiast wódki, włościanie mają ciepłą herbatę w zimie, latem oprócz tego różne owoce, a nadewszystko czytelnę. Jest tam Gazeta Święteczna, Zorza i różne dobre książki, które ciocia z księdzem Proboszczem gromadzą powoli. Jak dorosną te wszystkie dzieci, co to się teraz tak pilnie uczą w szkole, gospoda chrześcijańska będzie miała licznych czytelników.

— Anulko — mówiła Helenka — trochę już rozmarzona, bo rozmowa ta przeciągnęła się do późna — jak to dobrze, że ja tu do was przyjechałam. Mnie takie rzeczy nigdy do głowy nie



przychodziły, choć i ja także na wsi mieszkam. Ta twoja ciocia Kasia... doprawdy, chciałabym być do niej podobną.

I marząc na wpół sennie o tém wszystkiém, czego dokonała jedna kobieta tak małemi środkami, Helenka usnęła wkrótce pod gościnnym tym dachem. Oby w dalszém życiu nie zapomniała tak pięknych zamiarów.

## Pogadanki o sztukach pięknych.

### IV.

#### Rzeźba u Etrusków i Rzymian.

Historja podaje nam bardzo mało dokładniejszych wiadomości o narodzie Etrusków, który miał główną swoją siedzibę w części Włoch, obecnie zwanéj Toskanią. Nie możemy więc wam nawet objaśnić, z kąd ten naród pochodził, do jakiego szczepu ludzkiego należał, jakim językiem mówił. Jedni zaliczają go do semitów, inni do aryjczyków, czyli indo-europejczyków, potomków Jafeta; niektórzy utrzymują, że to byli owi Hyksosi, pasterze, co to niegdyś Egipt zawojowali, a później wypędzeni ztamtąd schronili się najpierw do Azji Mniejszej, a następnie przeszli do Europy, i rozłożyli się na półwyspie apenińskim; inni znów uważają ich za przybyszów z północy, z Recyi, wypartych z dawnych swych siedzib przez Celtów. To jedno żadnej wątpliwości nie ulega, że Etruskowie byli narodem cywilizowanym, gdyż budowali miasta obronne, i pozostawili mnóstwo zabytków sztuki. Podobnie jak Egipcyanie, otaczali oni wielką czcią pamięć umarłych, a wśród szczątków starożytnych miast etruskich znaleziono wiele okazałych grobowców. Niektóre z nich mają napisy literami podobnemi do greckich; próbowano je odczytywać, ale trudne są bardzo do zrozumienia i uczeni nie wyjaśnili jeszcze, czy mowa etruska podobniejsza była do języka hebrajskiego i chaldejskiego, czy też do sanskrytu, z którym są spokrewnione języki europejskie.

Nie będziemy się dłużej rozwodzić nad temi szczegółami, które należą do historyi, opowiemy tylko w krótkości o zabytkach sztuki etruskiej. Dawniej, mówiąc wam o architekturze, wspominaliśmy, że Rzymianie brali wzory z budynków etruskich, potem znów uczyli się od Greków i tym sposobem wytworzyli odrębny styl rzymski. Etruskowie byli także i w rzeźbie niepospolicie biegli, odlewali piękne posągi spiżowe, wyrabiali też mnóstwo mniejszych posążków i ozdobnych naczyń z gliny. Posągi przypominają po trochu egipskie, asyryjskie i najdawniejsze greckie; naczynia, któ-

rych bardzo wiele odgrzebano w ziemi, są czarne, pokryte wypukłemi rzeźbami. Znaleziono także we Włoszech, w różnych okolicach, mnóstwo naczyń glinianych kolorowych, a zwłaszcza z czerwonymi malowidłami na tle jasnym, lub czarnymi na tle czerwonym, i dawniej nazywano je wszystkie w ogóle etruskiemi. Ale znawcy utrzymują, że to są po większej części wyroby greckie lub fenickie, przywożone do Włoch przez handlujących żeglarzy.

Dziwicie się może, iż w historyi sztuki mówimy o naczyniach glinianych, które przecież zwykle służą tylko do domowego użytku. U starożytnych jednakże takie naczynia były to prawdziwe dzieła sztuki, nadzwyczaj ozdobne, przeznaczenie ich było niekiedy bardzo szcżytne, przechowywano w nich popioły zmarłych, tam, gdzie był zwyczaj palenia ciał, służyły też do różnych religijnych obrzędów w świątyniach. Nie tylko rzeźby zewnętrzne i malowidła stanowią piękność tych naczyń, ale i kształty. Etruskowie mieli w tém wiele smaku, umieli zachować proporcje najstosowniejsze, a rzecz to nie tak łatwa, jak się zdaje na pozór. Trzeba sobie koniecznie obrać jakiś wzór w przyrodzie; najdoskonalszym niezawodnie jest kształt ciała ludzkiego, to też artyści od czasów bardzo dawnych przyjęli za правило, żeby proporcje dzieł sztuki, nawet pomników i budynków, stosowały się zawsze do proporcji postaci człowieka. Nie zapominajmy, że tu wcale nie idzie o rozmiary, to jest o wielkość przedmiotu; proporcją nazywamy stosunek części pewnej całości pomiędzy sobą, a ten stosunek może być zachowany przy większych lub mniejszych rozmiarach, byle każda część w równej mierze była zawsze powiększona lub zmniejszona.

Otóż w naczyniach glinianych, wyrabianych przez Etrusków, widać wyraźnie, że oni już dobrze to правило znali. Nieraz naprzykład napotkać można pomiędzy niemi dzbany uchate, które kształtem przypominają zgrabne dziewczę, trzymające ramiona zaokrąglone ponad głową. Mnóstwo tych starożytnych zabytków przechowuje się w muzeach starożytności, w większych miastach europejskich. Płaskorzeźby na urnach grobowych etruskich, czyli popielnicach, przedstawiają po większej części jakieś sceny okropne, ponure, wstrętne obrazy męczarni; bo też z niedokładnych wiadomości, jakie historycy zebrali o religii tego narodu, wnosić można, że obrzędy ich były po większej części połączone z krwawemi ofiarami i okrucieństwem straszliwem. Czary rozmaite i zabobony miały u nich wielkie znaczenie, lubowali się w widowiskach przerażających, utrzymują też historycy, że Rzymianie od nich się nauczyli wyprawiać swoje straszliwe igrzyska.



Rzeźba u Rzymian była naśladowaniem etruskich i greckich wzorów, nigdy też nie doszła do wysokości doskonałości. Rzymianie byli przede wszystkim wojownikami, dla nich chlubą największą było podbijanie licznych krajów i narodów pod swoją władzę, sztukę uważali za przyjemną zabawkę, woleli więc zabierać gotowe posągi z zawojowanej Grecji i sprowadzać ztamtąd artystów, aby im robili nowe, aniżeli samym nad tem pracować. Artyści greccy musieli się stosować do upodobania swoich panów, a ci nie mieli tak wykształconego smaku, jak Ateńczycy, nie zachwycali się cudnymi kształtami bóstw marmurowych, nie upatrywali w nich jedynie ideału piękna; oni nawet i w posągach, w dziełach sztuki, chcieli mieć obraz swój potęgi i chwały. Posągi rzymskie są to po większej części wizerunki cesarzów, ich żon, znakomitych dostojników państwa, i dowódców wojskowych. Robiono je z marmuru, a częściej jeszcze odlewano ze spiżu. Bóstwa Rzymianie mieli gotowe, z Grecji sprowadzone, czcili także i egipskie, nie potrzebowali więc sami o nich myśleć.

Najbogatszy zbiór wizerunków cesarzów rzymskich i ich rodzin znajduje się we Florencji. Są to po większej części popiersia, biusty, jest jednak i parę posągów naturalnej wielkości. Bardzo dużo podobnych zabytków odszukano w wykopaliskach Pompei i Herculaneum. Tak na przykład w tém ostatniem mieście, w teatrze, stało dziewięć pięknych posągów całej rodziny prokonsula Balbusa. Ojciec i syn przedstawieni są na koniach, matka i trzy córki w postawie siedzącej. Strój rzymski, okazały i poważny, nadawał się bardzo dobrze do rzeźby. Mężczyźni nosili długie togi z miękkiej tkaniny wełnianej, układające się w piękne fałdy, a *stola*, suknia kobiet rzymskich, była także obszerna, długa i w bogate fałdy udrapowana. Posągi rodziny Balbusa złożone są w muzeum w Neapolu.

Bardzo piękne zabytki rzeźby rzymskiej znajdują się w samym Rzymie, w muzeum kapitolinśkim. Jest tam wspaniały posąg Juliusza Cezara, Marka Aureliusza, Agrypiny, w postawie siedzącej, w sukni przepysznie sfaldowanej, i wiele innych. W Luwrze paryżkim jest także zbiór bogaty, pomiędzy innymi odznaczają się posągi cesarza Augusta, Liwii, jego żony i Julii, córki; obie są przedstawione w stroju Cerery. Do najpiękniejszych zaliczają także posąg Tyberyusza, znaleziony w Capri, gdzie okrutny ten władca lubił przesiadywać. Znamy zachwycają się pięknem ufałdowaniem jego togi. Nie mogąc zapewne nastarczyć tych posągów swoim monarchom, którzy się często zmieniali, Rzymianie kazali je urządzać

w taki sposób, że głowa była przyprawiona do karku i mogła się łatwo zdejmować. Gdy wypa-  
dło nagle zmienić posąg cesarza lub dostojnika, dorabiano nową głowę, a dawną zdejmowano. Głowa cesarza Kaliguli należy do osobliwości, i tylko w kilku bogatych muzeach napotkać ją można. Lud rzymski tak nienawidził tego okrutnika, że jak tylko go się pozbył, niszczył zawzięcie wszystkie jego wizerunki, aby śladu po nim nie pozostało na ziemi.

Głowy niektórych pań rzymskich w posągach odznaczają się dziwnym strojem z przyprowadzanych włosów. Ogromne te peruki, spiętrzone wysoko, robiły się zwykle z rudych włosów, sprowadzanych z Germanii. Często też artyści i tę ozdobę głowy wyrabiali osobno, nadając jej naturalną czerwona barwę, można też było zmieniać perukę na głowie posagu. Przypomina to zupełnie ogromne koki przyprowadzane, które u nas niedawno były w modzie. Jak widzimy, moda to wcale nie nowa, a zawsze nieładna.

Z postaci mitologicznych, najpospolitsze były w Rzymie posągi Antinousa. Młodzieniec ten, sławny z piękności, ulubieniec cesarza Adryana, życie dla niego poświęcił w zabobonnem przekonaniu. Wróżby, w które przesądni Rzymianie wierzyli, przepowiedziały Adryanowi śmierć, jeśli ktoś dobrowolnie jej nie poniesie na jego miejscu. Wówczas Antinous rzucił się w nurty Nilu. Cesarz przejęty wdzięcznością dla swego ulubieńca, wznosił na cześć jego miasto Antinopolis nad brzegami Nilu, wyniósł go do rzędu bogów i cześć mu kazał oddawać. Wówczas to rzeźbiarze jeden przed drugim zaczęli robić posągi Antinousa; przedstawiano pięknego młodzieńca w różnych postaciach, najczęściej na wzór greckiego Apolina.

O płaskorzeźbach, któremi Rzymianie zdobili łuki tryumfalne i grobowce, mówiliśmy już dawniej w pogadankach o architekturze, tu więc powtarzać tego nie będziemy.

M. J. Z.

## KAZIMIERZ WIELKI DZIECKIEM.

### O B R A Z E K S C E N I C Z N Y.

(*Gaj Łobzowski w pobliżu drogi, dwóch chłopców, Kazimierz, syn Łokietka i Jaśko z Melsztyna stoją, poglądając ku drodze*).

JAŚKO (*pooiagając Kazimierza za suknię*).  
Pójdźmy w głąb gaju! kto słyszał, by książe,  
Stał tak przy drodze, przez którą lud chodzi!

KAZIMIERZ.

Gdybyś mógł, wsadziłbyś mię za wrzeciędzie,  
Nudnyś jest taki, jak ksiądz sam dobrodziej,



Kiedy mi rękę w pisaniu układa;  
Ledwo nią ruszę, już prawi, że źle jest.  
Żabieś po kostki, a mędrzec nie łađa!  
Idźno precz sobie, bo słyseż znów szelest.

JAŚKO.

Cóż w tém dziwnego, że lud idzie drogą  
W pięknej pod miastem Łobzowskiej zarośli;  
W święto ludziska się bawią jak mogą.

KAZIMIERZ (*patrząc daleko*).

Szkoda! tamtędy daleko ztąd poszli!

JĆSKO.

Pójdźmy do księdza, bo pewno niedługo  
My też powrócim z Łobzowskiej wycieczki.

KAZIMIERZ.

Dość się nasiedzę zimową szarugą,  
Teraz się ludziom chcę przyjrzyć troszeczkę.

JAŚKO.

Przyjrzyć się ludziom? czyż ludzi nie znamy?

KAZIMIERZ.

Ale bo nie wiesz nic, o co mi idzie:  
Wiem ja od siostry Elżbiety to samęj,  
Jako król jeden poddanym swym w biedzie,  
Zdała od tronu żyjącym pocichu,  
Lubił się często przyglądać tajemnie;  
Zamiast więc topić noc w śnie lub w kielichu,  
Zwiedzał on chatki i nędzne podziemia,  
Patrząc, słuchając, jak żyje lud biedny,  
Co o swym rządzie i panu swym myśli;  
Tak się król prawdy dowiedział niejednej,  
Którą mu dworscy skrywali najściślej.  
Przeto, tak prawdzie patrząc wciąż w oczy,  
Tak się mądrości nauczył od prawdy,  
Że choć daleki wiek odtąd już kroczy,  
Król ten z mądrości jest sławnym na zawdy —  
Tak ja chcę czynić!

JAŚKO (*wysłuchawszy uwatnie*).

Król mądry prawdziwie,

Wy też, gdy z takim działacie umysłem!  
Siostrze zaś waszję najbardziej się dziwię,  
Że rozumieniem darzona jest ściśłem,  
Chociaż niewiasta. Lecz jakże mu imię,  
Temu królowi, którego to sława,  
Zamiast rozpierzchnąć się w marnę cześć dymie,  
W wieki odległe za przykład nam stawia?

KAZIMIERZ.

Nie wiem doprawdy, choć mi to mówiono,  
Imię nie trzyma się mojej pamięci.

JAŚKO.

Harun-al-Raszjd?

KAZIMIERZ.

Ach! tak to, tak pono!

JAŚKO.

O nim ta powieść podobno się święci.

(*Dwóch chłopaków wpada na scenę, bawiąc się w konie, mniejszy, gwałtownie podcięty biczem, wrzeszczy przeraźliwie*).

MNIEJSZY.

Noga! dla Boga! oj noga! oj noga!

KAZIMIERZ (*przyskakuje i wyrzywa leżce*).

Co to! to ucisk słabszemu zadany!

Ktoś jest, woźnico? A ty? ktoś jest, koniu?

Pokaż ty, koniu, zadane ci rany!

Mów ty, woźnico, kto jesteś, nieponiu!

(*mały chłopak-koń przestraszony ucieka*).

WOŹNICA.

Jam kto? a tobie do tego co, malcze?

KAZIMIERZ.

Tyle do tego, co panu do służi!

WOŹNICA.

Sługi?! nie jestem ja plemię służalcze!

KAZIMIERZ.

Któż więc ty jesteś? i tamten kto drugi?

WOŹNICA (*dumnie*).

Jam jest Mikołaj, syn pana Wierzyńka!

KAZIMIERZ.

Patrzcie go, proszę! mieszczański to synek,  
Butny, jak szlachcic, a zły, jak gadzinka!  
Bodaj pociechę miał stary Wierzynek!  
Dawaj mi bat swój, a ja cię podetnę,  
Abyś też wiedział, jak rzecz ta jest smaczna!

WIERZYNEK (*cofając bat, zamierza się*).

Ej ty, czupurne pacholę szlachetne!

Strzeż ty swój skóry, choć pańska i znaczna,

Bo już nie batem, lecz trzasnę biczyskiem!

KAZIMIERZ (*po chwili mocowania się rzuca go o ziemię, gdy Jaśko woła*).

JAŚKO.

Precz! ty zuchwalcze! to pan, jak nie wielu!

WIERZYNEK (*z gniewem, gdy Jaśko go wstrzymuje*).

Po cóż się dziwnem sam czyni igrzyskiem,

Ludzi się obcych czypiając bez celu?

KAZIMIERZ.

Z celem! bo chcę was oduczyć przemocy!

Nie dam nad słabszym się znęcać silnemu!

WIERZYNEK.

Aleś mię rzucił o ziemię, jak z procy!

Tobież więc wolno, co wzbronie drugiemu?

KAZIMIERZ (*zdziwiony i zawstydzony*).

Wiesz... ty masz rozum!

JAŚKO.

Te rzeczy nie pięści,

Ale rozsądzać powinnyby prawo!

WIERZYNEK (*machając ręką*).

Prawo? oj ztego tam prawa najczęściej,

Wyrok jest wtedy, gdy człek pod murawą!

KAZIMIERZ.

Czemu?

WIERZYNEK.

No temu, że jak to lud mawia:

Pan Bóg wysoko, Magdeburg daleko.



KAZIMIERZ.

Jaki Magdeburg?..

WIERZYNEK.

No, wszakże bezprawia

Sądem najwyższym, za setną tam rzeką,  
Sądzi Magdeburg, bo tam apelacya!

Straszna mitrega na każdym jest kroku,

Jak on powiada! wyznaję ze wstydem,

Żem o tém wszystkiém nic wcale nie wiedział!

JAŚKO (*ścinając zielen biczem, który w czasie walki  
wyrwał Wierzynekowi*).

Ha!.., trudno jest być Harunem Raszydem



Wzór do rysunku.

Zginiesz wprzód, zanim doczekasz wyroku.

KAZIMIERZ (*cicho do Jaśka*).

Tak jest?..

JAŚKO.

A tak jest!

KAZIMIERZ.

To wielka jest racya,

Temu, kto fałdów, jak świat, nie przysiedział...

KAZIMIERZ (*do Wierzyńki, który odchodzi*)

Słuchajno! wróć się, ty mały Wierzyńku!

WIERZYNEK (*wraczając*).

Wracam! nie rzekną, że w strachu się chowa,

Tego o miejskim nie rzeknie nikt synku!



KAZIMIERZ.

Wołam, bo jeszcze mam do cię dwa słowa!  
Chwat jesteś chłopak! Jam Kaźmierz z Wawelu!

WIERZYNEK (*odskakując*).

Kaźmierz królewicz!

KAZIMIERZ.

Poproszę rodzica,

Abyś trwał ze mną. Mam druhów nie wielu,  
Mniej, niż ich bywa u lada szlacica;  
Przeto, że głupich nie cierpię, jak licha;  
Jaśko ten jeden, ty będziesz mi drugi;  
Zbyszy nauki, rozmówim się z cicha,  
W długich wieczorów jesienne szarugi,  
Jak Magdeburską ukrócić mitręgę...  
Będziesz mi druhem?

WIERZYNEK.

Jak pies swemu panu!

KAZIMIERZ.

Dobrze! w opiekę też weźmiem siermięgę!  
Kaźmierz nie gorszy niż ów Alkoranu  
Mądry wyznawca i król dobrotliwy.  
Wtedy król dobry, gdy naród szczęśliwy.

*M...a.*

## KORRESPONDENCYA WIECZORÓW RODZINNYCH.

*z Małorosyi.*

Za miesiąc ma nadejść chwila, w której wyjdę z grona czytelniczek *Wieczorów Rodzinnych*; niechże mi przedtém będzie wolno złożyć podziękowanie Szanownej Redakcyi za okazaną mi życzliwość, której doznałam przez cały czas prenumerowania tego pożytecznego *Pisemka*. Korzystałam wiele z artykułów poważnej, naukowej treści, czytywałam z przyjemnością powieści i wiersze, otrzymałam także pozwolenie przesyłania łamigłówek i drobnych utworów, które łaskawie były przyjmowane, co mi podało sposobność prowadzenia z redakcją korespondencji, otrzymywania miłych odpowiedzi i rad, jeśli ich zasięgnąć potrzebowałam.

Czytanie *Wieczorów* i te korespondencye zajmowały mnie bardzo, starałam się jak największą korzyść odnieść z tego, dziś więc z żalem rozstaję się z tą miłą rozrywką lat dziecięcych. Mimowoli muszę sobie zadać pytanie, czy lepiej być dzieckiem, czy dorastającą panienką? Ponieważ dla mnie nadeszła już ta pora życia, więc mi się powabniejszą wydaje. Jestem swobodna, uczę się sama, czytuję dzieła poważniejsze i powieści, a z nich czerpię wiadomości o tym świecie, do którego wchodzę. Radabym, aby był rzeczywiście tak czarujący, jak się wyobraźni mojej dziś przedstawia, a nadewszystko, aby ludzie na nim byli

dobrzy, zacni, serdeczni, jakich zawsze spotykać pragnę.

Pora więc ta wydaje mi się miłszą i szczęśliwszą od wieku dziecięcego. Jednak z przyjemnością wspominam także i lata ubiegłe, a wioska, w której je spędziłam, dla obcych może nie przedstawia żadnych szczególnych piękności, dla mnie ma urok niewypowiedziany. Tu się urodziłam i wychowałam, znam każde ustronie, każdy zakątek; lud tutejszy, każde drzewko, kwiatek, ptaszę, wszystko to miłe jest sercu mojemu.

Na każdym kroku snują mi się wspomnienia mego dzieciństwa, przypominam sobie, jak wesoło bawiłam się z bratem, który mię kochał, dogadzał we wszystkiém, w którym miałam prawdziwego przyjaciela. Nie długo jednak trwać miało to szczęście; będąc w szkołach zakończył życie, a ja straciłam bardzo wiele ze śmiercią ukochanego brata. Była to pierwsza wielka boleść, jakiej doznałam w mém życiu, dotychczas tak szczęśliwém. Żal pozostał mi na zawsze w sercu za najdroższym bratem i przyjacielem, a ta strata i dziś coraz bardziej czać mi się daje.

Obok téj boleści, doznałam tu wielu miłych wrażeń, które nazawsze utkwily mi w pamięci, więc chociażbym najweseliej gdzie czas spędzała, powracam do rodzinnego kąta z największą ochotą. Gdy po długiem niewidzeniu spostrzegam pierwsze chaty wieśniaków, serce rwie się do tego miejsca, często myślę o tém, jak mi tęskno będzie za moją ukochaną wioszczyną, gdy za lat kilka z tych stron wyjadę. Nieraz myśl moja leci w ten świat daleki, który poznać pragnę, ale radabym potem powrócić do stron ojczystych, gdzie tak dobrze i miło, do lubej Małorosyi, do jej rozległych stepów i pięknych wiosek.

Może być coś miłszego dla mnie, córki téj ziemi, nad te obszary, wśród lata okryte zbożem, falującym jak morze za wiatru powiewem; na tych łąkach w pocie czoła pracują dla nas wieśniacy, dodając sobie ochoty śpiewaniem piosnek rzewnych i pełnych uczucia, tak miłych dla mnie Ukrainki. Pod prostą ich siermięgą biją nieraz zacne i szlachetne serca.

Stepy tutejsze są tak rozległe, że oko o wiorst kilka nie ma na czem spocząć, czasem tylko zdaleka ujrzyć można mogiły, o których niesie podanie, iż pozostały z napadu Tatarów. Wówczas nasuwają się różne smutne myśli i mimowoli wspomina się dawne czasy, znane z czytanych opisów.

Lecz nietylko lato, ale każda pora roku ma tu dla mnie powab wielki, nawet i zima, a gdyby nie ta myśl, że dla wielu biedaków, żyjących o głódzie i chłodzie, ciężką jest pora zimowa, lubiłabym ją bardzo, szczególnie w dni jasne i mroźne, lub pod.



czas pięknych księżycowych nocy. Lubię długie wieczory, które zwykle spędzam na czytaniu, czasem też z przyjemnością słucham odgłosów huczącego i wirującego gwałtownie wichru; przypomina to jakąś muzykę potężną, to znów smętną, a wielkie mam upodobanie w muzyce tego rodzaju, chociaż jestem usposobienia żywego, lubię się bawić i podróżować. Muszę więc wspomnieć i o tém, a mam na myśli odbytą przed tygodniem wycieczkę do Elisawetgradu, miasta powiatowego gubernii chersońskiej, gdzie mieszkają bliscy moi krewni, u których spędziłam dni kilka bardzo wesoło.

Chersońska gubernia nie wywarła na mnie zbyt miłego wrażenia, gdyż oprócz stepów, ale nie tak pięknych jak nasze, ukraińskie, nic innego tam nie widziałam. Elisawetgrad, jak na miasteczko powiatowe, duże jest, porządnie zabudowane, ma kościoł, kilka cerkwi, zakłady naukowe, hotele, kluby, i małą twierdzę, zbudowaną przez cesarzową Elżbietę. Liczy 60 tysięcy mieszkańców, po większej części wojskowych, leży nad rzeką Inguł. Miasto to słynne jest z rocznych jarmarków.

W czasie mego pobytu w Elisawetgradzie urządzona tam była wystawa obrazów malarzy szkoły petersburskiej. Oglądałam ją z wielką przyjemnością. Najpierw uwagę moję zwrócił i zachwyił mnie obraz p. Makowskiego, przedstawiający więźnia, który siedzi w podziemiu na ławie, gdzie mu rzucono garść lichęj słomy na posłanie. Odziany w starą siermięgę, z rękami założonemi i głową na bok pochyloną, w oczach ma wyraz tak bolesny, że bez łez niepodobna patrzeć na tego człowieka w sile wieku, cierpiącego może niesłusznie lub za cudze winy. Będąc sama szczęśliwą, patrząc na ten świat tak piękny dla mnie, nie obrażałam sobie, a raczej nie przychodziło mi na myśl, aby mogli być na nim ludzie tak nieszczęśliwi. Obraz Makowskiego żywo mi to przedstawił przed oczyma duszy, długo mu się przypatrywałam, żałując, że go nabyć nie mogę, gdyż oceniony na 5,000 rs. był już sprzedany.

Widziałam tam jeszcze wiele ładnych krajobrazów, lecz te mię już tak nie zachwyciły. Z sielankowych obrazów podobał mi się bardzo jeden, niewielki, lecz ładnie wykonany, przedstawiający step podczas żniw. Pod tak zwaną przez lud tamtejszy kopą zżętego zboża, siedzi wieśniaczka staruszka, z dwiema dziewczátkami o ładnych i niezmiernie miłych twarzyczkach; wyglądają bardzo zaciekawione opowiadaniem stariej babci. Obrazek ten miłe na mnie wywarł wrażenie, gdyż lubię ten lud, o którym śmiało powiedzieć można, że jakkolwiek niewiele ma oświaty, jest jednak nadzwyczaj roztropany, i nieraz rozmowa z prostym

wieśniakiem prawdziwą mi sprawia rozrywkę. Lud ten jest bardzo nabożny i wiele innych zalet posiada.

Tak spędziłam pierwszy dzień pobytu w Elisawetgradzie. Nazajutrz urządzony był w domu moich krewnych wieczorek, na którym bawiłam się doskonale, chociaż nie pierwszy to już raz byłam na takiej zabawie, odkiedy przestałam być dzieckiem; parę miesięcy temu był wieczór tańczący u moich rodziców, pierwszy, na którym występowałam, jako dorastająca panienka. Cieszyłam się na kilka tygodni przedtém tą zabawą, a więc jeszcze przybyciem mojej przyjaciółki, która po ukończeniu zakładu naukowego w tój porze mnie odwiedziła. Tańczyłam dużo i byłam uszczęśliwiona długą suknią, którą mi w tym dniu włożyć pozwolono, a której każde dorastające dziewczę tak gorąco pragnie. A jednak na wieczorku w Elisawetgradzie ubawiłam się jeszcze lepiej.

A teraz wspomnę jeszcze, że jest w tém mieście teatr, czasem przybywa trupa śpiewaków i wystawiają opery, bywają także i koncerty. Raz tylko byłam w tym teatrze, na małosukim dramacie ze śpiewkami, pod tyt. *Natałka Poltawka*. Grała trupa przybyła z Kijowa. Pierwszy raz widziałam tę sztukę, a znając język małosukski, rozumiałam doskonale. Wszystkie piosenki, a są to przesliczne melodye ukraińskie, były mi przedtém znane. Treść tego dramaciku jest bardzo ładna i rzewna, rzecz dzieje się w rodzinie wieśniaków w Poltawie, dla tego też bohaterka nazywa się Natałką Poltawką. Aktorowie mieli stroje narodowe, niezmiernie malownicze. Ubiór Natałki i jej matki składał się ze spodnicy kolorowej, wyszywanęj koszulki, i kaftanika długiego bez rękawów, wciętego w stanie. Natałka, jako dziewczyna, miała głowę ustrojoną wstążkami, a matka chustką zawiązaną. Mężczyźni w długich butach. czapkach barankowych, mieli zwierzchnie ubranie świtką zwane, pasy zielone, czerwone lub granatowe.

Żałowałam, że nie mogłam być na żadném inném przedstawieniu, na drugi dzień bowiem musiałam opuścić Elisawetgrad, gdzie mi czas tak wesoło schodził. Powróciłam do domu z nadzieją, że w czasie karnawału tam pojadę i będę na balu publicznym, co rok urządzanym w tém mieście przez towarzystwo wyłącznie polskie. Wiele sobie obiecuje przyjemności z tój świetnej zabawy. Oby więc te parę miesięcy jaknajprędzej upłynęły!...

Karolina Gr.

*Przypisek redakcyi.* List ten wydrukowaliśmy prawie w całości, usuwając tylko ustępy nazbyt pochlebne dla naszej redakcyi. Chociaż kochana korespondentka przesłała go nam na pożegnanie,



gdyż wkładając długą sukienkę, rozstać się musi z Pisemkiem dziecinném, mamy jednak nadzieję, że o nas nie zapomni i kiedyniekiedy prześle nam wieści o sobie, a czasem, w chwilach wolnych od zajęć i zabaw, obdarzy czytelników naszych opisem jakiej wycieczki, lub dowcipną łamigłówką. My zaś przesyłamy jej serdeczne życzenia, aby dalsze jej życie równie błogo upływało, jak wiek dziecinnie.

## Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Sir James Primrose klasnął w dłonie dwa razy, orszak się zatrzymał, on zaś, zwracając się do swoich sług, zapytał:

— Czy daleko ztąd do mieszkania bramina Sopo-Zai, przezwanego lekarzem ciała i duszy?

— Bardzo niedaleko, panie — odrzekł jeden ze sług Anglika — świątobliwy pustelnik ma zwykłą swoją siedzibę o paręset kroków od tego wzgórza.

Sir James i dowódzca jego straży przytknęli do ust rogi swoje myśliwskie i z obu zabrzmiała melodia smętna, przeciągła, a echo rozniosło ją daleko po lesie.

— Jeżeli pustelnik jest w pobliżu, ujrzymy go niezadługo — rzekł Anglik. I nie omylił się; wkrótce ujrano zbliżającego się starca wychudłego, z długą, białą jak mleko brodą. Ubiór jego był nędzny, składał się z długiej sukni z błękitnej, bawełnianej tkaniny, tak wytartej i zniszczonej, że prawie w łachmany się rozpadała. Na twarzy jego poważnej widać było ślady myśli głębokich, czoło miał poorane bruzdami, a oczy w zadumie tonące. Przystąpił powolnym krokiem do Anglika.

— Synu, kto mię tu przywołał? — zapytał.

— Ja — odparł sir James Primrose.

— Czegoż może żądać pan tak bogaty od ubożego starca? — zapytał znów sędziwy Indyjanin.

— Świątobliwy starcze — mówił sir James z uszanowaniem — spojrzysz na tego człowieka. Jest to najwierniejszy ze sług moich, Kanadyjczyk, nazwiskiem Wai-ta-hu, który opuścił ojczyznę swoją, Amerykę północną, aby się ze mną nie rozstawać. Przed godziną wyszliśmy na łowy, a drapieżny tygrys rozpruł mu pierś pazurami. Obawiam się, czy rana nie jest niebezpieczną. Wiem, że znasz własności różnych ziół leśnych, umiesz urządzać dobroczynne balsamy i maście. Udaję się więc z prośbą do ciebie, abyś opatrzył ranę mojego sługi.

— To, o co prosisz, dostojny panie, jest mi nakazane przez Stwórcę wszechrzeczy. Spełniam więc jego wolę ochotnie.

Mówiąc to, odszedł na chwil kilka w głąb lasu, przyniósł w rękę pęk ziół, wycisnął z nich sok w małą flaszeczkę, którą miał zawieszoną na szyi, a przystąpiwszy do Kanadyjczyka, pokropił jego ranę tą cieczą; potem przytknął flaszeczkę do ust jego, a nakoniec obrzucił mu twarz płatkami kwiatu lotusu i rzekł:

— Połóżcie go pod drzewem, na posłaniu z liści, zapewne zaśnie teraz spokojnie, a gdy się przebudzi, niech wypije trochę ryżowego wina. Rana nie jest niebezpieczna, zaręczam, że będzie zdrow.

— Dzięki ci, świątobliwy starcze — rzekł sir James Primrose. — Powiedz, czém ci wynagrodzić mogę?

— Jedna jest tylko nagroda, która ma wartość dla mnie — rzekł sędziwy Indyjanin — ale tej pewnie nie otrzymam od ciebie, dostojny panie.

— Mów, starcze, niema rzeczy, którejbym nie uczynił dla ciebie.

— A więc powiem: nie wylewaj nigdy krwi, nawet tygrysięj.

A wyrzekłszy to, starzec odwrócił się i odszedł szybko, a zanim Anglik zdziwiony zdążył go zatrzymać, znikł w gęstwinie leśnej.

Spełniono wszystkie zlecenia starego bramina, a gdy ranny usnął spokojnie, służba, na rozkaz Anglika, zastawiła na trawie suty podwieczorek, do którego młodzi nasi podróżnicy zasiedli wesoło w towarzystwie uprzejmego gospodarza.

— Otrzymałszy wiadomość o szczęśliwem przybyciu waszém do portu — mówił sir James — obliczyłem, że dziś tu przybędziecie i wybrałem się na wasze spotkanie. Wai-ta-hu, ten pocziwy Kanadyjczyk, nie odstępuje mię nigdy, i teraz więc wzięłem go z sobą. Nie mieliśmy zamiaru polować, ale w tym kraju trzeba być zawsze przygotowanym na spotkanie z dzikim zwierzem. My dwaj z Kanadyjczykiem poszliśmy naprzód, i zmęczyliśmy się trochę, przystanęliśmy więc pod drzewem, czekając na resztę naszej gromadki. Ja zacząłem opatrywać strzelbę, jakby przecuciem wiodziony, a Wai-ta-hu, lnbący zawsze szperać po kątach, zajrzał w głęboką szczelinę skały i nagle wykrzyknął z radości. Po chwili wyciągnął z tamtąd dwoje zwierzątek, zupełnie podobnych do kotów. Poznałem je odrazu po skórze centkowanej; oczy ich zielonkawie błyszcząły, jak żarzące węgle, łapy uzbrojone były ostremi pazurami, a z paszcz rozwartych zwieszały się czerwone jak krew języki.

— Szaleńcze! — zawołałem — jak mogłeś taką nieroztropność popełnić! jak mogłeś się zakra-



dać do legowiska tygrysa! Czyż nie wiesz, czém to grozi?—Ale zaledwie wymówiłem te słowa, gdy obawa moja się spełniła. O trzydzieści kroków od nas stała dysząca wściekle tygrysica, oczy jej ciskały błyskawice, postawa wyzywająca przypominała kota, wietrzącego biednego wróblika.

— Wai-ta-hu, rzuć jaknajprędzej te szkaradne zwierzątko, bo zginiesz! — krzyknąłem przerażony i muszę mu oddać sprawiedliwość, że natychmiast rozkaz mój spełnił. Ale na nic się to nie przydało; rozjuszona matka przyskoczyła do niego w susach potężnych. Kanadyjczyk stanął do walki z nadzwyczajną przytomnością umysłu i rzadką zimną krwią, wyciągnął prawą rękę, uzbrojoną w długi nóż myśliwski i pchnął silnie w brzuch tygrysicę. Ryk przeraźliwy przeszył powietrze, ja pośpieszyłem na ratunek Kanadyjczyka i bylibyśmy się szybko załatwili z tym jednym nieprzyjacielem, gdy w tém spostrzegliśmy nowe niebezpieczeństwo. Samiec nadbiegł w pomoc towarzysze. Ujrawszy strzelbę w moich rękach, wskoczył na gałąź pobliskiego drzewa, miał zapewne zamiar spaść ztamtąd na mnie zniecacka; ale ja go uprzedziłem i celnym wystrzałem roztrząskałem mu udo. Tygrys zsunął się z drzewa i uciekł w las kulejąc. Podbiegłem wówczas do tygrysicy i drugi strzał mojej dubeltówki, wymierzony w czaszkę, trupem ją położył; ale spóźniłem się o chwilę, wściekły zwierz jednym uderzeniem potężnych swych pazurów rozpruł pierś mego wiernego sługi. Nadbiegła tymczasem reszta mojej gromadki, urządzono nosze, ułożono na nich rannego, zabrano także szczątki tygrysicy. Wyobraźcie sobie, że drapieżne tygrysięta nie przelekły się, ani wystrzałów, ani smutnego końca swjej matki, ale rzucały się na nas, jak wściekle. Nie chciałem ich jednak zabijać i udało się nam w końcu pochwycić je żywcem. Oto są dzieje dzisiejszej naszej przygody.

— Ach, jaka szkoda, żeśmy się spóźnili! — zawołał Robert — gdybym ja tam był, tygrys nie zdążyłby umknąć sromotnie z placu.

— Mój przyjacielu — rzekł sir James z dobrotnym uśmiechem, — nie wątpię o twojej odwadze i zręczności, ale pamiętaj, że najwytrawniejszy myśliwiec europejski nie zawsze sobie da rady z tutejszym tygrysem. Urządzamy tu zwykle oblężenie tego strasznego zwierza, strzelcy ustawiają się pod ochroną zakratowanej palisady, w której urządzone są strzelnice, a gdy tygrys się ukaże, strzelają do niego raz po raz, bo nie zawsze pierwsza kula powali go odrazu.

Upłynęła godzina na tej rozmowie, Kanadyjczyk przebudził się ze snu, w pierwszej chwili nie

mógł się opamiętać i wymówił kilka słów nieprzytomnie:

— Tygrysięta! panie, ostrożnie!

Ale sir James pokazał mu tygrysięta, związane i leżące spokojnie w koszu.

— Uspokój się, mój pocziwy Wai-ta-hu — rzekł Anglik — rana twoja umiejętnie jest opatrzona, niema żadnego niebezpieczeństwa; za godzinę staniemy w domu, gdzie będziesz otoczony najtroskliwszymi staraniami i prędko przyjdiesz do zdrowia.

Tymczasem i noc zapadła. Wspaniały to był widok, gdy ponad lasem zajaśniały niezliczone gwiazdy na ciemnym lazurze nieba, cienie nocy spływały na ziemię, drzewa przybrały olbrzymie rozmiary, a szmery nieokreślone, tajemnicze, zapęliły gęstwinię. Służba zapaliła pochodnie, i orszak zmierzał szybko do rezydencji Anglika. W chwili, gdy stanęli przed gankiem, Indyanin jakiś zbliżył się do sir James'a i podał mu pakiet opieczętowany.

— Pan mój kazał to wręczyć do rąk twych własnych, dostojny panie — rzekł z uszanowaniem.

Sir James rozłamał pieczęć i odczytał pismo natychmiast przy świetle pochodni.

— Moi panowie — rzekł, zwracając się do swych gości — odpowiedź moja na ten list od was zależy. Radza z Monopuru, sąsiad mój i przyjaciel, wyprawia za dni pięć walne polowanie na słonie i przesyła mi zaproszenie. Czy zechcecie mi towarzyszyć? bo przecież nie mogę was tu samych zostawić.

Obaj młodzieńcy odpowiedzieli jednogłośnie okrzykiem radości. Była to dla nich gratka nielada. Sir James Primrose odprowadził swoich gości do wspaniałego mieszkania, które było dla nich przygotowane, potem odszedł na chwilę, ażeby się zająć osobiście ranionym Kanadyjczykiem. Podróżnicy nasi nie czuli najmniejszego zmęczenia, zeszli więc na dziedziniec, oddychali z rozkoszą świeżem powietrzem wieczornem, gdy tętent konia przerwał ciszę, panującą dokoła i jeździec zatrzymał się przed bramą. Młodzieńcy zbliżyli się i wzięli z rąk jego ogromną kopertę opieczętowaną, którą chcieli odnieść gospodarzowi, ale jakież było ich zdziwienie, gdy rzuciwszy okiem na nią, przy świetle latarni, umieszczonych na werandzie, odczytali adres następujący:

„Do rąk panów Roberta Kergorieu i Henryka Vertpré, podróżników francuzkich, przebywających w mieszkaniu dostojnego Anglika, sir James'a Primrosa, w bliskości miasta Lahory. Gdyby zaś adresaci nie znajdowali się w tém miejscu, upra-



szam o przesłaniu listu do wszystkich miast indyjskich z kolei."

Robert odgadł odrazu, że list był od Jakóba, nie potrzebował zaglądać do podpisu. Dwaj młodzieńcy zasiedli na oświetlonej werandzie i czytali długi list pocziwego majtka, który brzmiał, jak następuje:

*Makao 15 Kwietnia 18\*\*.*

„Nie możecie sobie wyobrazić, dzieci moje ukochane, jak wielką radość mi sprawił wasz list, w którym donosicie o swoich zamiarach. Po dłuższej, strasznej niepewności, wiem już наконец, co się z wami dzieje. Marek jest także uszczęśliwiony. Musimy wam teraz donieść ze szczegółami o sobie. Nim jeszcze pismo wasze doszło rąk naszych, już mieliśmy o was wieści przez kupca perskiego, który was widział obu w Ispahanie, i dowiedział się nawet, że się do Indyj wybieracie. Ale dopiero odczytawszy te drogie litery, własnymi rękami waszemi kreślone, uspokoiiliśmy się zupełnie i cierpliwie czekamy obiecane go waszego przybycia.

A teraz posłuchajcie naszych dziejów. Nie myślę jednak opowiadać porządkiem wszystkich dziwnych i nadzwyczajnych przygód, przez któreśmy przeszli od tej nieszczęsnej chwili, gdyśmy przez niedarowaną moję nieroztropność rozminęli się z wami w Dźidzie. Przyjdzie czas kiedyś i na to, gdy ukończycie te wędrówki, zasiądziemy wieczorem zimowym przy kominku, w ukochanym domku naszym w St. Malo. Oj! będzie o czem prawić bez końca. Tymczasem opowiem tylko o obecnym naszym położeniu.

Od dwóch miesięcy mieszkamy w Makao. Osobliwe to jest miasto, nawpół azyatyckie, a na wpół europejskie, bo tyle tu jest z pewnością Europejczyków, ile krajowców chińskich. Mnóstwo domów handlowych znajduje się w rękach kupców angielskich, francuzkich, holenderskich i portugalskich. Najkorzystniejszy handel prowadzi się w tym kraju herbatą, kością słoniową i jedwabiem. Kto chce się przypodobać Chińczykom i żyć z nimi w przyjaźni, przebiera się w ich strój narodowy. Wyobrażam sobie, jakbyście boki zrywali, gdybyście obaczyli waszych dwóch towarzyszy w tym komedyańskim przebraniu. Marek szczególnie nieporównany jest Chińczykiem. Cóżbym dał za to, gdybyście go mogli widzieć w tej chwili w długiej sukni jedwabnej brunatnego koloru, w żółtych sandałach, w malutkiej mycce na głowie, przyozdobionej sztucznym warkoczem, misternie splecionym i wstążeczką związanym, z parasolem i wachlarzem w rękę. Można by go za biletami pokazywać.

Ale żart na stronę. Muszę wam donieść przede wszystkim, że dorabiamy się majątku. Ja to, nie chwając się, wpadłem na ten dowcipny pomysł.

Dotychczas wprowadziłem gardziłem marnem złotem, powtarzałem sobie, że największe skarby nie mogą człowiekowi szczęścia zapewnić. Jednakże w czasie tej podróży, po przejściu przeróżnych przygód, zmieniłem w części wyobrażenie pod tym względem. Dręczony niepokojem o was, drogie dzieci, pomyślałem, że gdybym miał pieniądze, mógłbym was odszukać i połączyć się z wami, ale będąc w nędzy, musiałem się wyrzec tego szczęścia.

Tak rozmyślając ciągle i dzieląc się temi myślami z moim towarzyszem, zacząłem układać w głowie plany różnych korzystnych spekulacji. Sprzedawaliśmy rozmaite przedmioty, ptaki w klatkach, a potem miód i konfitury. Proszę was, nie śmiećcie się z tego, bo to wcale nie było śmieszne. Doszliśmy nakoniec do porządniejszego handlu i dziś jesteśmy na świetnej drodze.

W tej chwili zamieszkaliśmy stale w państwie chińskiem, przy samej granicy, założyliśmy tu nie żaden nędzny kramik, ale dom handlowy, co się zowie, gdzie sprzedajemy najrozmaitsze towary i prowadzimy interesa na wielką skalę. Mamy obszerne mieszkanie, liczną służbę, kuchnię chińską, dziwną trochę, ale smaczną i pewny jestem, że i wy nią nie pogardzicie. Niema jednak róży bez cierni, jak mówi przysłowie. Licho nam na dało wydalic się raz jeden z Makao. Kilku znajomych kupców radziło nam, ażebyśmy się puścili na wędrówkę z różnemi towarami i zwiedzili wyspy malajskie. Upewniano nas, że mieszkańcy tych wysp chętnie nabywają broń palną i inne towary, a płacą złotym proszkiem. Ja się ociągałem przez czas jakiś, ale Marek spokoju mi nie dawał, tak mu ta podróż w głowę zajechała. Więc ja mu mówię:

— Zastanów się, chłopcze, czy to nie szaleństwo prawdziwe? zarobek niepewny, a spotkanie z tymi dzikusami wcale mi się nie uśmiecha. Czy mało miałeś różnych przygód, jeszcze ci się więcej zachciewa?

— Panie Jakóbie — odpowiada — źle pan radzisz; kto nic nie waży, nic nie ma. Wszak na to trzeba pieniędzy, żeby odszukać kochanych naszych towarzyszy, nieprawdaż? Zapewne, że i na miejscu w Makao nieżyjemy zarobek, ale tu handel idzie powoli, a tam, na tych wyspach, możemy odrazu dorobić się majątku i prędzej złączymy się z Robertem i Henrykiem.

Hultaj wiedział dobrze, czém mnie najłatwiej za serce pochwyli. Prędzej odszukamy Roberta! A toż jabym chętnie na koniec świata poszedł, żeby się tylko dostać do mojego najdroższego chłopaka. To też niecnota wkrótce mnie namówił. Zaczęliśmy tedy kupować strzelby, proch, a oprócz tego przeróżne drobiazgi, zwierciadła, błyskotki,



prysmaki, nie zapomnieliśmy też zabrać z sobą beczkę ratafi i puściliśmy się w drogę.

W tydzień później, po szczęśliwej żegludze, zbliżyliśmy się do jakiejś przystani, która zapewne nie ma jeszcze nazwy geograficznej; z piętnaście małych łódek, dziwnie wydrążonych w pniach drzewnych, otoczyło nasz statek, kilkunastu drągali na wpół nagich i cudacznie pomalowanych wskoczyło na nasz pomost, a jeden z nich, który odgrywał rolę wodza, oznajmił nam, że nas bierze w niewolę w imieniu swojego pana, króla Tonny-Bi.

— I owszem — rzekłem — gotowi jesteśmy stawić się przed tym monarchą, poto przecież przybyliśmy w te strony, aby się z mieszkańcami zapoznać. A co do niewoli, to potężny Tonny-Bi zapewne nas wspaniałomyślnie wypuści na wolność, jak tylko załatwimy się z handelkiem naszym w jego państwie.

Muszę wyznać, że nadrabiałem miną, bo to przyjęcie wcale mi się nie podobało. Nieraz już przedtém widywałem w Makao tych potentatów malajskich i wiedziałem, co to za ptaszki. Ale wiedziałem także, iż roztropny Europejczyk zawsze sobie z tém byłem potrafi dać rady. Znając słabe strony dzikiego człowieka, można go na sznurku prowadzić, jak niesforne dziecko. Malajczycy są pijacy, głupcy, złodzieje, miałem jednak nadzieję, że damy sobie z nimi jakoś rady, liczyłem na swój dowcip i na spryt Marka. Gdyby przyszło do walki, pokonaliby nas odrazu, bo oprócz nas dwóch, na małym naszym statku mieliśmy tylko kilku majtków, Chińczyków. Ale od czegoż rozum? Postanowiliśmy zachować jaknajprzekładniejszą zgodę z tą dziczą. Na szczęście, wybierając się do nich, wyuczyliliśmy się ich języka.

— Bardzo rad jestem — powtórzyłem — że się poznam z wielkim królem tej ziemi; idźmyż co prędzej do niego.

— Król Tonny-Bi nie lubi bladych twarzy — rzekł ów drągał, wyglądający na wodza — zaraz wam odbierze te strzelby, i nam je odda, żebyśmy was pozabijali.

— To być nie może — odparłem z dobrą miną — król Tonny-Bi sławny jest na całym świecie, a my słyszeliśmy o nim tyle, że umyślnieśmy się wybrali w podróż, aby mu hołd nasz złożyć. Nie wątpię, że jak tylko się o tém dowie, przyjmie nas z honorami, jakie się należą takim dostojnym cudzoziemcom i z pewnością ukarze każdego, kto by śmiał nam jakąkolwiek krzywdę wyrządzić.

Dzikus oniemał na te słowa i patrzył na mnie zdumiony. Poznał zapewne, że nie w ciemie bity, to też zaprzestał pogróżek, a chociaż i on, i jego towarzysze, chciwie spoglądali na strzelby, nie

śmiali ich jednak dotknąć i wysiedliśmy na ląd spokojnie. Obaj z Markiem, uzbreiliśmy się w porządne rewolwery, zabraliśmy też do kieszeni parę butelek ratafi, i trochę błyskotek. Potém poszliśmy za naszymi przewodnikami do pałacu monarchy.

— Mój dobry panie Jakóbie — rzek Marek do mnie po francuzku — daję ci słowo, że nie boję się wcale tej halastry, a jednak trochę mi markotno. Kto wie, może i lepiej było siedzieć spokojnie w Makao i pomalutku handelek prowadzić. Ale stało się, trzeba jakoś się z tej biedy wydobyć. Gdyby nas jednak miało spotkać co złego, byłoby mi bardzo przykro i wyrzucałbym to sobie, bo to ja przecież namówilem pana Jakóba na tę nieszczęsną podróż.

— Dajże pokój — odpowiedziałem — bądź dobrej myśli, nic nam się złego nie stanie.

— Oto pałac królewski! — zawołał drągał z dumą.

O małośmy śmiechem nie parsknęli na widok tego królewskiego pałacu. Wystawcie sobie lepiankę, w którejby pastuch u nas mieszkać nie chciał, niską, obdartą, nędzną; i to był pałac potężnego monarchy, który miał nas w swojej mocy!

— Idźcież do króla, skoro wam tak śpieszno — rzekł jeszcze drągał, rozsuwając bez wszelkiej ceremonii matę, zasłaniającą wejście, i tak bez żadnego oznajmienia weszliśmy do mieszkania władcy.

Król Tonny-Bi leżał sobie wygodnie na macie ze słomy ryżowej, rozciągniętej na ziemi i gryzł w zębach laseczkę cynamonu. Nie obraził się wcale za to najście, widać, że ceremoniał na jego dworze nie jest zbyt wyszukany, a gdy ujrzał butelkę w moich rękach, podniósł się zaraz na nogi.

Ujrzelśmy tedy przed sobą majestat królewski w całej okazałości. Tonny-Bi był to także drągał potężnego wzrostu, a ogromna, nastrzępiona czupryna, jeszcze go większym czyniła. Czupryna ta wyglądała bardzo dziwnie, była biała, jak śnieg i kręcona, nakształt tych peruk pudrowanych, które na dawnych portretach widzieć można. Na samym czubie miał pióro czaple, sterczące do góry, zapewne jako oznakę swjej godności, coś nakształt korony monarszej. Resztę stroju składały zausz-nice miedziane i łańcuch z zębów rekinów, zwieszający się od czupryny na piersi. Cały był wymalowany kunsztowniej jeszcze od swoich poddanych.

— Potężny królul! — zawołałem — widzisz przed sobą dwóch ludzi białych, którzy przybyli do twojego państwa w najlepszych zamiarach. Bo gdyby mieli złe zamiary, zebraliby się w większej liczbie, nieśliby z sobą miecze, strzelby i broń roz-



małą. Ale my chcemy tylko należyty hołd ci złożyć, wielki królu.

— A cóż to za hołd? — zapytał Tonny-Bi nie-co podejrzliwie, ale dość uprzejmie.

(D. c. n.).

### Zadanie konikowe (Jerzy Ch.).

ten	ba	nie	im	bę	ży	mi	Bóg
sta	niech	rzój	i	naj	pan	ku	ja
się	za	si	diesz	ło	ły	blo	wi
wi	cie	przy	go	go	w nie	nek	graj
wa	jek	pra	ło	ru	bra	sła	bie
bie	ko	ły	du	do	so	że	do
gra	dzi	si	ką	je	sza	a	bie
sta	mi	sza	ten	ba	nóż	no	Graj

### Metagram (Gwoździ).

Znajdź wyraz, składający się z trzech liter i oznaczający roślinę. Zmień głowę, będzie zwierzę, zmień jeszcze, masz inną roślinę, zmień znowu a otrzymasz przysłówkę, zmień jeszcze raz, będziesz mieć drugi przysłówkę.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

#### Szarady:

Ce — li — na.

#### Łamigłówki głoskowe:

To pan zdaniem mojem

Kto przestał na swoim.

(Wiersz Kochanowskiego).

## OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach. Jedną tylko zaprowadzamy zmianę, mianowicie: Dodatek dla młodszych dzieci dołączany będzie *co tydzień* do każdego N-ru Pisma.

Wszystkich prenumeratorów upraszamy o jak-najwcześniejsze nadsyłanie przedpłaty *wprost do*

redakcyi. Tym sposobem jedynie unikną opóźnienia w odbiorze pierwszych N-rów Pisma.

Na rok przyszły przygotowaliśmy dla naszych kochanych czytelników pomiędzy innemi, następujące rzeczy:

*G wiazdka węgierska, powieść z czasów ryceerskich* przez M...a Zielińską). *Dwie siostry, opowiadanie, z dziejów wynalazków*, przez M. J. Zaleską. *Podsluchana tajemnica, opowieść z rodzinnego podania*. Będziemy także podawali w dalszym ciągu *Pamiętne Chwile* przez Teresę Jadwigę. *Gawędy o literaturze* przez Z. Morawską. *Pogadanki o sztuce i Pogadanki naukowe* przez Zaleską. *Obrazki dramatyczne z dziejów naszych* przez M...a (Zielińską). *Gawędy podsluchane u Wiślaniej fali Serya II*. Komedyjki prozą i wierszem i t. d.

**Warunki prenumeraty:** W Warszawie rocznie **rs. 4.** kwartalnie **rs. 1.** Na prowincyi i w cesarstwie z opłatą poczty: rocznie **rs. 5.** kwartalnie **rs. 1 kop. 25.**

### Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

Ponieważ wielu prenumeratorów uskarżało się na niedogodność przysyłania pocztą drobnych kwot na Szpitalik Dziecinny, więc podajemy do wiadomości, że warunek ten nie był nigdy koniecznym, przysyłali też żądane kopiejki ci tylko, którzy tę ofiarę dobrowolnie złożyć chcieli. Obecnie, nie chcąc w błąd wprowadzać prenumeratorów, nie ogłaszamy wspomnianego dodatku przy warunkach prenumeraty; natomiast ofiary, na ten cel przeznaczone, przyjmowane będą w każdym czasie i wrzucane do puszek, znajdujących się w redakcyi.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**Rózi D. w Berdyczowie.** Wyborne szarady i łamigłówki zawsze z wielką radością odbieramy i serdecznie za nie dziękujemy. Wierszyki dla tego dotychczas nie były drukowane, że niestosowne byłyby w porze zimowej, tyle w nich odgłosów wiosny; muszą więc czekać jeszcze parę miesięcy, zanim wyjdą na świat Boży. Takie miłe i kochane liściki zawsze są dla nas pożądane i nigdy się nam na przykrzyć nie mogą; terazniejsze długie milczenie tak nas niepokoiło, że zamierzaliśmy już o przyczynę zapytać.

**Sewerci L. w Ust. Labie.** Historia powszechna dla młodego wieku dobra jest Szczerbowicza Wieczora. Obszerniejsza nieco Weltera, obie niedrogie.

**Kazi Sz. w Gniewoszowie.** Żądane Nra Pisma wysłane ale bez dodatku historii biblijnej, gdyż musieliśmy je wyjąć z egzemplarza broszurowanego, luźnych Nrów z r. 1880 nie mamy już na składzie. Ale trudno odmówić prenumeratorce, która tak ceni swoje Pisemko i nie z własnej winy poniosła stratę Nrów.

**Panu Janowi C. w Krakowie.** Kolenda nie mogła być drukowana, gdyż nadeszła za późno, gdy Nr. Pisma kolendowy był już pod prasą. Czy mamy ją zachować na rok następny?

**Panu B. w Odesie.** Żądaną książeczkę wysłaliśmy pod opaską, według wskazanego adresu.

**Panu Ignacemu St.** Wierszyki odebraliśmy, dotychczas jednak nie mogły być jeszcze wydrukowane.